

Osiemdziesiąt parę lat temu Lucy Maud Montgomery napisała powieść, która niebawem podbiła serca czytelników, a zwłaszcza nastoletnich czytelniczek. Po „Ani z Zielonego Wzgórza” powstawały więc kolejne książki opowiadające dalsze losy rudowłosej bohaterki. Reżyser Irena Byrska bardzo pragnęła zrealizować sceniczną wersję „Ani z Zielonego Wzgórza” w Gdańsku, w Teatrze „Wybrzeże”. Spektakl powstał, jego premiera odbyła się niedawno. To teatralne wydanie popularnej powieści z miejsca zaakceptowała publiczność kilku pokoleń, co przedstawieniu wróży najpewniej długą obecność na afiszach. A to z kolei oznacza, że odtwórczyni tytułowej roli, Sławomira Kozieniec przez wiele wieczorów będzie wcielać się w postać Ani Shirley. Młoda aktorka czyni to zresztą tak dobrze, że sukces przedstawienia jest w dużej mierze także i jej zasługą.

CIESZE się — mówi Sławomira Kozieniec — że moja Ania przypadła widzom do serca. Moje warunki zewnętrzne nie są tu naturalnie bez znaczenia i zdają sobie z tego sprawę. Bawią mnie jednak stwierdzenia w rodzaju: gdy ogląda się na scenie Sławomirę Kozieniec w roli 12-letniej bohaterki, to nie myśli się o tym, ile aktorka naprawdę liczy sobie wiosen. Nie zdradzę ile tych „wiosen” mam, oczywiście więcej niż mieszkanka Zielonego Wzgórza. To jest akurat najmniej ważne. Jeżeli bowiem widzę w te moje naście lat, to znaczy że coś mi się udało. I na tym polega aktorstwo. Na transformacji, na twarzeniu siebie na nowo umiejętności pokazania się zupełnie inaczej.

— Jak przyjęła pani propozycję wystąpienia w tej roli? Czy oznaczało to powrót do ulubionej lektury i wzruszeń dzieciństwa?

— Wiem, że trudno w to wierzyć, ale ja tej książki nie znałam... Naprawdę nie czytałam wielu książek stanowiących kanon dziecięco-młodzieżowej literatury. Lektury dobierałam sama, w drugiej klasie szkoły podstawowej sięgnęłam np. po „Nędzników”. „Ania z Zielonego Wzgórza” i następne tomy — to jedna z tych luk w znajomości z literaturą. Przyszła się do tego, nie mam komplementów, wszak wszystkiego i tak w życiu nie spożoż przeczytać... A rola — dość duża, tytułowa, więc choćby z tego względu dla aktora oferta ciekawa...

— Jak wobec tego pani sama już dojrzała „znała” Anię po lekturze? Czy bez obaw przystąpiła pani do pracy nad rolą?

— Przeczytawszy nie oparłam się wzruszeniu, choć zarówno w „Ani z Zielonego Wzgórza” jak i w „Ani z Avonlea”, a potem w egzemplarzu scenariusza znalazłam wiele sentymentalizmu i skłonności. Bałam się tego, bałam się także, iż nie zdolamy tych Aninych monologów zamienić na dzianie, że zdominuje nas słowo. Na szczęście zdołaliśmy tego uniknąć, zastąpić opowiadanie żywą akcją. Bardzo nad tym wszyscy pracowaliśmy.

— „Ania jest od serca, przyjaźń z nią pomaga żyć” — napisała w teatralnym programie Irena Byrska. Cóż, która bardzo tę literacką postać lubi. Dla pani — Ania Shirley to bohaterka innej epoki, sympatyczna i prawdziwa ale może trochę niedzisiejsza. Czy macie coś wspólnego, czy jest to osoba w jakimś sensie prywatnie pani bliska?

— Książka, mimo pewnych zastrzeżeń, nie była dla mnie obojętna. Pomyślałam, że tkwi we mnie ja-

kaś cząsteczka duszy typowej pensjonarki. Ale przecież w obrazach czasów minionych, tych filmowych literackich, bądź teatralnych spotykamy ludzi żyjących, którzy mimo różnic obyczajów, epoki, kostiumu bywają nam bliscy poprzez swe doświadczenia, przeżycia namietności. Dlatego też świat Ani, nawet z tą sentymentalną otoczką nie

A teraz uprawiam ten wymarzony zawód. Ania Shirley powiedziała by „jakos to poszło”.

— Przez studia w krakowskiej PWST...

— ...na które zresztą nie od razu się dostałam. Naturalnie artystyczne ciągoty i marzenia nie spełniły się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Krzy-

Spotkanie z Anią

jest znowu fak obcy współczesnym dziewczętom czy młodym kobietom. Denerwowała mnie egzaltacja Ani, owszem, ale w sumie chyba dobrze ją rozumiem. Podobnie jak ona lubię sobie wyobrazić, marzyć i tak jak ona uważam, że życie bez marzeń nie miałoby

przesady nie ma w twierdzeniu, że w aktorstwie liczy się przede wszystkim praca, a talent i szczęście — to ważne dopełnienie ewentualnych sukcesów. Miałam ten łut szczęścia, trafiając do Teatru „Wybrzeże” wraz z grupą kolegów ze studiów i Krzyszto-

— Nie mam ulubionych książek, autorów, kolorów, bohaterów, nie mam ról wymarzonych. Grałam przez te kilka gdańskich sezonów sporo, a gdy na krótko trafił mi się „przestój” myślałam, że oszaleję. Ważne jest dla mnie by grać, wyjść na scenę. Dać coś wspianego z siebie, a przynajmniej nie wstydyć się tego, co się robi. Nie wszystkie role kochamy, nie wszystkie sami cenimy, choć niekiedy publiczność może być innego zdania. Cudownie, gdy satysfakcja bywa wzajemna. Ten zawód niesie wiele rozczarowań. Nie myślę tu o porażkach artystycznych, lecz o zawodzających nadziejach. Zdarzają się sytuacje, w których czekamy na następna rolę w nadziei, że będzie na pewno lepsza od poprzedniej, a to oczekiwania się nie spełnia i nawet nie z naszej winy. Po pros-

premierze też żyje, proces jego tworzenia trwa nieprzerwanie.

Często propozycja roli wydaje się niezbyt interesująca, właściwie nijaka. Tak było też z Rudolfem. U Andrzejskiego jest jedynie wzmianka na temat tej postaci. To reżyser ją stworzył, rozwinął. A ja miałam to szczęście, że Rudolfa mogłam zagrać. Z roli, także ta wymarzona jest jak z egzemplarzem, który dostajemy do ręki. Sa tam tylko znaki na papierze. Aktor, artysta dopiero je ożywia sposobem mówienia, zachowania, gestem i wrażliwością. Każde nowe wcielenie — to dla mnie radość.

— Największa dotychczas satysfakcja, największa porażka...

— Każdy młody aktor marzy o tym by grać. Grałam sporo, choć rola główna przed Anią trafiła mi się raz, w „Białym Łabędziu”. Ale to niestety. Ten zawód skazuje na czekanie, uczy czekania. Nie jesteśmy własnymi menedżerami, więc czekamy, oby tylko nie bezproduktywnie. Nie mamy wpływu na to co się zagra, ale na to „jak” — owszem. To się liczy. A porażki? Powtarzam sobie, że każde działanie ma w życiu sens, chwil straconych nie ma, bo każde doświadczenie, każdy błąd czegoś nas uczy, coś nam daje.

— To rozumowanie bliskie filozofii Ani Shirley.

— Może, choć naprawdę znacznie się różnimy. Prywatnie inaczej reaguję, jestem kimś innym.

— Czasem jednak aktor w życiu prywatnym przejmie coś z kreowanych przez siebie postaci.

— Tak, często, zwłaszcza gdy intensywnie pracuje się nad rolą, wrecz nie sposób oddzielić sceny od życia, przenosi się bowiem stany emocjonalne i zachowania „swego” bohatera. Czasem usiłuje się od tego za wszelką cenę uciec. Tak było ze mną w trakcie pracy nad Rudolfem. Zaczęłam się bać tej postaci, nieścisłej, kalekiej. Przestraszyłam się samej siebie w tej roli, gdy zobaczyłam fragment spektaklu w telewizji... Od Ani, czy raczej przy okazji realizacji spektaklu wiele się natomiast nauczyłam — w sensie zawodowym. A szlachetność i dobroć bohaterów, nieco może „przesłodzona” daje trochę optymizmu. Zdarza mi się, na co dzień spotykać ludzi równie prawych i bezinteresownych i to jest pocieszające.

— Mówiliśmy o marzeniach. O czym więc marzy Ania, gdy zejdzie ze sceny i znajdzie się w teatralnej garderobie i swolm pokoiku, nie na Zielonym Wzgórzu, tylko na Witominie, w Domu Aktora?

— Och o wielu, wielu rzeczach a są to pewnie pragnienia typowe, mało oryginalne. Ania Shirley powiedziała by tak: jest ich tyle, że trudno byłoby wszystkie wyliczyć, ale powiem tylko te dwa najważniejsze...

— Niech zatem spełnią się w nowym roku wszystkie. Dziękuję za rozmowę.



„Podobnie jak ona lubię sobie wyobrazić, marzyć i tak jak ona uważam, że życie bez marzeń nie miałoby sensu”. Nz. p. Sławomira Kozieniec w roli Ani Shirley. Fot. Tadeusz Link

sensu. To cudowne poddawać się wyobraźni, stwarzać sobie świat inny od tego, w jakim żyjemy. Lepszy, barwniejszy. Przed laty wyobrażałam sobie, że jestem aktorka, tworzyłam w tajemnicy wyimaginowany teatr oczami wyobraźni widziałam siebie na scenie,

fem Babickim, który zresztą te — jak o nas mówia — krakowska grupa do Gdańska pociągnął.

— To w reżyserowanym przez Babickiego dramacie „Już prawie nic” Jerzego Andrzejskiego stworzyła pani pamiętną, nagrodzoną zresztą kreację Rudolfa.

gdy spektakl był już gotowy i dość długo arany. Nauczyć się roli w trybie awaryjnym, wejść w gotową już całość, próbować coś stworzyć — to wspaniała przygoda. Ale lubię aktorską codzienność, prozę, każde wyjście na scenę, bo przedstawienie, przecież po